

ALFONS PILORZ

## CO I JAK NA KUL MNIE PRZYWIAŁO

Po pierwsze, nie był to wybór planowany, przemyślany, kierowany charakterem Uczelni. Po drugie, nie był to wybór z konieczności: żeby uniknąć ludowego wojska (od 1944 r. jestem inwalidą) lub z obawy przed niedostaniem się na studia (można rzec, iż miałem w kieszeni przyjęcie na polonistykę UJ, a to dzięki doskonałemu pochodzeniu – robotnicze, PGR – i świetnej opinii kol. Heska, szefującego organizacji ZMP w moim cieszyńskim liceum Ossuchowskiego<sup>1</sup>). Wszystko było dziełem przypadku (inna sprawa: czy przypadek rzeczywiście jest przypadkiem, czy może KTOŚ...?). A było to tak. Jako uczeń gimnazjum i liceum (1945-



Dr hab. Alfons Pilorz, prof. KUL  
Fot. Roman Czyrka

-1950) mieszkałem u siostr boromeuszek (Górny Rynek 6). Siostry zajmowały się liczną gromadą pensjonariuszek, uczennic różnych szkół średnich (mieszkanie, wyżywienie...). Prowadziły też niewielki dom starców. Trzecią grupę mieszkańców, przygarniętą na zasadzie wyjątku, stanowili pseudomuszkietierowie, jeszcze nie starcy, w liczbie trzech oczywiście; tym bardziej nie podpadali pod pojęcie dziewczyny; byli to: Franek i Kornel

---

<sup>1</sup> Pewnego dnia nasz dyrektor Kotajny wezwał wszystkich przez szkolny kołchożnik do auli, gdzie dowiedzieliśmy się, że jesteśmy członkami ZMP; demokracja ze wstydu zasłoniła sobie twarz, ale uniknięto w szkole napięć i konfliktów, prawie nikt tego członkostwa nie brał na serio, a wspomniany dyrektor niejednemu trefnemu kandydatowi umożliwił swą partyjną protekcją – bezinteresowną – wymarzone studia. Wspomina go jeszcze teraz pewna lekarka z Bielska, obecnie w Zamościu, jak to dzięki niemu pałała się do pediatrii dziewczyna o paskudnym pochodzeniu – choć ze świetnym świadectwem – odebrała upragniony indeks Akademii Medycznej (1951). Jako pediatra kardiolog przepracowała pół wieku przeszło. Tak więc partyjny też mógł mieć zamiast partyjnego, ideowego nosa, nos ludzki. Do tej pory myślę o nim ciepło.

z Zaolzia oraz ja z Pruchnej, po wschodniej stronie Olzy. Było nam tam bardzo dobrze. W pewnym momencie (1949?) siostry postanowiły zorganizować akademię w celu popularyzacji postaci o. Kolbego. Dużo czytelników miała wówczas książeczka Gustawa Morcinka *Dwie korony* o oświęcimskim bohaterze. Niektórzy uważali, że mam łatwe pióro, więc obarczono mnie misją spłodzenia jakiegoś wiersza ku czci, na tę akademijną okoliczność. Nie umiałem odmówić cudownej s. Anieli (Szmuk), byłej słuchaczce Twardowskiego i koleżance Stefana Swieżawskiego na lwowskiej wszechnicy... A więc stało się: coś tam ułożyłem, z gorącym sercem, ale pewnie mocno trącającego grafomaństwem. Ludzie w tamtych latach nie byli wybredni; zajadaliśmy się np. kanadyjskimi konserwami (z UNRRA) pod tytułem *Horse meat*. Mój więc utworek-potworek też przeszedł (nie pamiętam z niego nic, nawet tytułu; tekst, przepadł dawno, dawno). Dzięki – głównie chyba – anielskiej urodzie deklamatorki, młodszej siostry Haliny Simki z naszej klasy licealnej, krewnej zresztą wspomnianej zakonnicy o rybniczych korzeniach. Wśród słuchaczy był rusycysta (nie z naszej szkoły; u nas uczono tylko francuskiego i angielskiego) profesor Bagiński. Jemu to się jakoby spodobało, poznaliśmy się i... Pan ten był wielkim przyjacielem odległego lubelskiego KUL-u (nie mam pojęcia dlaczego). Pamiętam, że wkrótce potem wykoncypowałem też – co do tekstu – afisz wzywający do ofiarności na rzecz KUL-u. Afisz ten widywałem w cieszyńskich kościołach; nie wiem, czy wisiał także poza Cieszynem.

Nie mam w pamięci żadnego śladu momentu podjęcia decyzji o rezygnacji z UJ (ok. 100 km od mojej małej ojczyzny) na rzecz Lublina (ok. 400 km). Pamięć – dziwna rzecz: pamiętam śmierć Marszałka (to nic dziwnego), ale też oryginalne akcje Składkowskiego (sławojki, malowanie płotów na zielono...); śpiewaliśmy w szkole „Nie stanie się nam nic, bo z nami Śmigły, Śmigły, Śmigły Rydz”. Pamiętam zmaganie o Alcazar w Toledo, Ebro, Guadalajarę. Pamiętam Schuschnigga oraz Anschluss (nie był jego entuzjastą wiedeński kardynał Innitzer). Pamiętam zabór Albanii przez Mussoliniego i ucieczkę króla Achmeda Bud Zogu. Pamiętam japońskiego premiera Tojo pracującego do wojny z USA (w Chinach Japończycy szarogęsili się już na dobre; trudno nie pomyśleć o masowych mordach, np. w Nankinie). Pamiętam żalony koniec Tuchaczewskiego i że u nas pudełko zapalek zawierało 54 sztuki, a cukier kosztował 1 zł za kilogram. Pamiętam ormiańskiego arcybiskupa Lwowa Teodorowicza obok łacińskiego Twardowskiego (po Bilczewskim) oraz unickiego Szeptyckiego; natomiast Łuck miał biskupa Szelążka, Pińsk – Bukrabę itd. itd. A tutaj – pustka totalna. A przecież

miałam już 22 lata (matura opóźniona przez wojnę). Wychodzi więc na to, że *przywiało*, jakoś tak, bez mojego udziału. Kto chce, niech wierzy. Ale tak było, koniec, kropka.

Druga ówczesna decyzja: romanistyka, nie polonistyka, także pozostaje dla mnie kompletnie zapomniana. Z francuskiego nie byłem znowu takim orłem. Na maturze pisałem po francusku o francuskim Ruchu Oporu, na ustną wybrałem łacinę, bo trochę niepewnie się czułem w gadaniu w mowie żabojadów... Rodzice w te sprawy nie ingerowali. Więc? No nic; nie wiem, nie pamiętam!

Przypominam sobie natomiast pierwszą podróż do Lublina celem zapisania się na KUL. Przesiadka w Katowicach<sup>2</sup> do pociągu bodajże jeleniogórskiego do Lublina<sup>3</sup>.

Jednakowoż cofając się nieco dalej, muszę jeszcze wspomnieć o tym, że francuski (w którym i z którego żyłem do emerytury w 2003 r.; skończyłem wtedy 75 lat i 48 lat pracy na etacie) też przypadkowo znalazł się na mojej drodze. W tych latach w „moich” szkołach obowiązywał przedwojenny system (jędrzejewiczowski): 4 klasy gimnazjum, 2 lata liceum. Nie pamiętam, czy był jakiś sprawdzian, na podstawie którego przyjmowano nas do gimnazjum we wrześniu 1945. Pierwszy zapamiętany ze szkoły obraz to

---

<sup>2</sup> Jeszcze nie w Stalinoğrodzie, bo żyw był jeszcze Wielki Językoznawca. Nawiasem mówiąc, słynna broszura Stalina (napisana prawdopodobnie przez Czikoławę), kładąc kres niepodzielnemu panowaniu absurdałnych teorii marryzmu o klasowym charakterze języka i o jego stadiałnym rozwoju, pozwoliła językoznawcom radzieckim jeśli już nie powstać z kolan, to przynajmniej podnieść czoło z podłogi. Jest to, moim skromnym zdaniem, zasługa arcyzbrodniaza. Od tamtej chwili obserwuje się duży rozwój językoznawstwa radzieckiego, które zresztą miało piękne wzory w dawnej Rosji. Choćby tylko wspomnieć ośrodki w Kazaniu, z którego przybył do Ojczyzny słynny Baudouin de Courtenay, swego czasu wykładający, przez kilka miesięcy, na KUL-u, na zaproszenie naszego Założyciela.

<sup>3</sup> Miał to być mój drugi kontakt z małowniczą ziemią lubelską. Pierwszy zawdzięcam Adolfowi (9 września 1939 r. przez płonący po bombardowaniu Janów Lubelski do Białki, powiat Krasnostaw – do 21 września w południe: przez Żółkiewkę, gdzie zobaczyliśmy pierwszych jeńców polskich, do Annopola; za Wisłą westchnienie ulgi, że już jesteśmy poza zasięgiem czerwonołwiezdnych pobratymców). 1 września po dwunastej wyruszyliśmy – z Państwowego majątku Rolnego Pruchna, pow. Cieszyn – kilkoma furmankami na wschód. Najpierw miało to być „za Wisłę” (ok. 4 km; „za Wisłę przecież Niemcy nie przejdą!”), ale z 4 km zrobiło się 400. Wylądowaliśmy po 10 dniach „podróży” w gościnnej stadninie w Białce. Życzliwi pracownicy stadniny – nasza rodzina kwaterowała u Michała Kwiki (pamiętam smakowite zupy ogórkowe parni Kwikowej i śliczną ośmioletnią (?) Cesię) – gościli nas przez 10 dni. 17 września, na wiadomość o ataku ze wschodu, zastrzelił się dyrektor stadniny Sosnowski (rozpacz wybacz mu, Panie!). Następnego dnia przyjechali Niemcy, najpierw głównie motocykle z przyczepami marki Zündappi. 20 września ruszyliśmy w powrotną drogę przez most pontonowy na Wisłę w Annopolu, potem Opatów, Kielce... nieprawdopodobnie gościnny dworek państwa Sowińskich w Mierzawie koło Jędrzejowa; 1 października wróciliśmy do domu, na pięć lat do Rzeszy...

obszerna aula, wypełniona dwoma (trzema?) setkami kandydatów i pytanie dyrektora Bogocza o wybierany język obcy. Wszyscy bez wyjątku, ja także, pragnęli języka angielskiego. (Te początki anglomanii należy, sędzę, łączyć z rolą anglojęzycznych zwycięskich potęg). Przypominam sobie np. imponujące srebrzyste bombowce amerykańskie latające z Włoch na Kędzierzyn – niem. Heydebreck – i na oświęcimskie Bunawerke. Luftwaffe już zdychała. Tylko jedna (sic!) dziewczyna, wysoka blondynka ze Skoczowa, Michalska, nieśmiało podniosła rączkę, deklarując chęć uczenia się dodatkowo francuskiego!

Gwoli wyjaśnienia: rosyjski jeszcze nie był wszedł masowo i obowiązkowo do szkół (zresztą któż miałby go uczyć?), niemiecki zaś był na naszych terenach zakazany.

Ów jeden głos tej dziewczyny był tak dziwny, że fakt ten utkwiał mi mocno w pamięci. Ponieważ w naszej szkole było za mało nauczycieli angielskiego (tylko pani Zagórska, czyli Miss Mary), część klasy, w tym moja, „dobrowolnie” wybrała francuski. A więc znowu ten przypadek!

Już nie przypadkowo, a z prawdziwego wyboru, znalazłem się w klasie humanistycznej. W liceum część klasy miała francuski, część angielski. Do matury z francuskiego doprowadził nas profesor Matej, starszy, dystyngowany pan, nigdy się nie irydujący, z wykształcenia klasyk. Wychowawcą był świetny historyk pan Gembala, później wykładowca opolskiej Akademii Pedagogicznej. 1945-1950: pięć lat pogodnych, mimo wszystko, mimo coraz bardziej betonowej komuny. Wszyscy nasi wykładowcy byli przedwojenni<sup>4</sup>, nikogo ze świeżego awansu typu „Nie matura, lecz chęć szczerą”. Nawet była religia (katecheta ks. dr Wrzoł, ks. Buzek – z tych Buzków – uczył ewangelików, ok. 30 proc. populacji na Śląsku Cieszyńskim).

Gdzieś w czerwcu pojechałem (z moją starszą siostrą Martą) do Lublina zapisać się na KUL. Bodajże w pociągu usłyszeliśmy o wybuchu wojny w Korei. W niepewności, czy zaraz nie ogarnie nas wojenna zawierucha, zgłosiliśmy się, z rekomendacją pana Bagińskiego, do Rektora, ks. Antoniego

---

<sup>4</sup> Jedynym *rara avis*, bez znanej nam przeszłości, była ucząca rosyjskiego chętnych poznania – nadobowiązkowo – języka umiłowanych przyjaciół nieduża pani z Rostowa. Bardzo dobrze uczyła i, rzecz ciekawa, nigdy nawet zająknęła się jakąś pochwalną uwagą o osiągnięciach ZSRR; „*u nas wsio samoje bolszoje, luczszije, fabryki pomarańcz są, kanieszno...*”. Chyba więc myśli miała nie całkiem *blagonadiożne*. Wszyscy nasi Profesorowie już TAM, ona pewnie także. Odpoczywają w pokoju, małą Żuczko (takie miała przezwisko) pamiętam z życzliwością. Przypuszczam, że jej pobyt w Polsce, umożliwiony przez małżeństwo, był formą ewakuacji z niższego kręgu piekła na znacznie wyższy, jednak lepszy. Wiadoma rzecz: Polska najweselszy barak w obozie...

Słomkowskiego. Na noc zaoferował gościnę w salonach rektorskich (szumna nazwa, trochę na wyrost). To był jakby powitalny pocałunek KUL-u: jeszcze nawet nie student, kandydat dopiero, nocuje u rektora! Wielu było rektorów zdolnych do podobnego gestu? Taki był ks. Słomkowski, bezustannie nachylony ku ludziom, organizator wszystkiego na uczelni w warunkach skrajnie niesprzyjających, chrześcijanin przez bardzo duże C. W 1944 r., gdy nad Wisłą stał front, on reaktywował uniwersytet, czym ściągnął na siebie gromy wielu środowisk emigracyjnych, oskarżających go o działanie na korzyść propagandy komunistycznej. Na pierwszej inauguracji w owym 1944 r. w auli KUL zasiadł – no bo nie mógł nie być zaproszony – Bolesław Bierut, a także przedstawiciel Armii Czerwonej przy PKWN marszałek Nikołaj Bułganin, późniejszy szef rządu sowieckiego (za Chruszczowa), który rezydował przy Ogrodowej. Kilka miesięcy później starania o otwarcie KUL-u najprawdopodobniej byłyby już skazane na niepowodzenie. Oddanie Rektora sprawom młodzieży studenckiej, często w bardzo trudnej sytuacji materialnej, młodzi odwzajemniali powszechną i szczerą sympatią. Ciosem dla wszystkich było aresztowanie ks. Słomkowskiego w 1951 r. (Nigdy już na Uczelnię nie wrócił). Psychologicznie niełatwą sytuację jego następcy, ks. Iwanickiego, nieco chłodnego w obejściu logika, ilustruje dość trafnie anegdota (prawdziwa – mam ją od śp. Jana Ziółka z historii) łącząca się z wiekowym już wówczas historykiem prof. Kossowskim, absolwentem dawnych rosyjskich uniwersytetów, znawcą rosyjskich archiwaliów. Otóż ów przesympatyczny pan, zawsze uprzedzająco grzeczny, nieco sepleniał i lekko się jękał. Krótco po pojawieniu się nowego rektora kilku młodych historyków z KUL-u zapytało prof. Kossowskiego o jego opinię o nim. Odpowiedź brzmiała: „T-to jest śf, śśf [wszyscy zamarli, bo usłyszeć z ust tego profesora jakiś wulgaryzm było czymś niewyobrażalnym], śfinks!” Otóż ten Sfinks, nieszczerólnie lubiany, umiejętnie lawirując, przeprowadził KUL przez Charybdę konającego, a więc najgorszego, stalinizmu.

Wracając do 1950 r.: końcem września wyjechałem na studia do Lublina. Z bagażem pomagał mi mąż jednej z kuzynek. Pociąg z Dolnego Śląska do Lublina w Katowicach nabrał zupełnie wyglądu pociągu w Indiach: udało nam się dostać do wagonu, staliśmy przy samych drzwiach, oczywiście otwartych, bo ludzie wisieli też na stopniach. Nie dało się ruszyć ręką ani nogą. W pobliskiej ubikacji tkwiło chyba z dziesięć osób. Dopiero w Kielcach zrobiło się luźniej. Tak więc faktycznie było to *per aspera ad astra* uniwersyteckie. W akademiku dostałem przydział do pokoju na parterze, z czterema tylko łózkami (były też pokoje dla 15, nawet 18 osób!). Pamiętam tych pierwszych sympatycznych kolegów: Geniek Mickiewicz

z Białej Podlaskiej, prawnik, polonista z Lęborka (korzenie podolskie) Józek Tokarczyk, polonista również Rysiek Mróz z Radomia. Józek miał na KUL-u brata, ks. Tokarczuka, późniejszego hierarchę przemyskiego; *-czyk* i *-czuk* to nie pomyłka: rodzina nazywała się od dawna Tokarczuk. Gdy Józek, by uniknąć wcielenia do Armii Czerwonej, wstąpił do kościuszkowców (walczył na Pomorzu, całe doby w zimnej wodzie i błocie okopów), tam jakiś wojskowy pisarczyk, niezbyt mocny w rozróżnianiu liter łacińskich i graždanki, wziął ruską literę *y* za polskie *y* i tak narodził się Tokarczyk. Józek i Geniek po studiach zostali w Lublinie i tu spędzili całe zawodowe życie.

W akademiku poznałem wielu ciekawych chłopaków, m.in. prawnika Władka Dziedziaka, krajana z Cieszyna, syna znanego cieszyńskiego księgarza (ożenił się z Marylką ze Szczepieszyna, która w stołowce sprzedawała „bloczki” na posiłki; po studiach pracował w administracji KUL, potem szefował administracji ATK w Warszawie; nie żyje. Jego pierworodny – a mój chrześniak – Tomek zginął gdzieś na Dalekim Wschodzie). Jednym z jego bliższych kolegów był lubiący się zgrywać Ignac Piwoni z Tuczej koło Piszczaca (okolice Białej Podlaskiej), późniejszy sędzia. Z jego barwnego języka zapamiętałem, jako wyraz irytacji, *bo dostanę raka na macicy*. Czołowym czcicielem Bachusa był góral Uryga. Podhale wydało także polonistę Ciszka, który po latach w USA wrócił do hał i pasał owce. Wiele lat później, przy tym jego pasieniu, natknęła się na niego grupka polonistów studentów wiedzionych przez wielbicielkę Tatr prof. Irenę Sławińską. Ciszek, który pierwszy rozpoznał z daleka swą dawną mistrzynię, wrzasnął: „O k..., Pani Profesor!” I pędem rzucił się ku grupce z Lublina, i utonął w gościnnych ramionach Pani Ireny. Spokojem i pewną naturalną godnością wyróżniał się filozof Adaś Rodziński, nieco od nas starszy, późniejszy profesor KUL. Serdecznie wspominam Wacka Niepokólczyckiego, anglistę: chudy, blade ascetyczny wygląd zawdzięczał swoistym „wczasom” na Syberii. Miał szczęście znaleźć się, dzięki Andersowi, w Iranie, potem w Kenii, w obozie dla polskich dzieci. Jak się później dowiedziałem – wówczas o tych rzeczach lepiej było nie wiedzieć – był synem wysoko postawionego w strukturach AK oficera, któremu ludowa Ojczyzna zgotowała dar w postaci kary śmierci. Z wykonaniem jej jednak jakoś zwlekano i pan Franciszek Niepokólczycki doczekał nastania Gomółki oraz uwolnienia i rehabilitacji. Czasem horror miał happy end. Podobną łagierną bladeść nosił również jednoręki Krzysztoń, późniejszy pisarz. Z naszego roku romanistycznego mieszkał też w akademiku Władek Kwiatkowski, kielczanin, cichy i nieśmiały, późniejszy pracownik naszej romanistyki. Podob-

niez Guccio Kania z Dębicy (w pewnym momencie zasłynął tym, że ściagała go gorącym afektem znacznie starsza pani z miasta) oraz Andrzej Kładoczny z Zielonej Góry (równolegle uczył się w szkole muzycznej, zrywał się wcześniej rano, by poćwiczyć w owej szkole przed rozpoczęciem się lekcji).

Życie w akademiku było dość biedne i prymitywne, ale jakoś tam wesołe. Pan Jan ze Starego Miasta rozpałał rano ogień w piecach kafłowych, sypiąc opowieściami o dawnym Lublinie – dawnym, czyli sprzed wojny. Wracającym po 22 do akademika otwierał bramę zawsze jakby zaspany i sepleniący pan Józef (mieszkał w suterenie, w której, wyżej, byli ulokowani m.in. prof. Kossowski z uroczą żoną – idąc do pracy, w połowie podwórka odwracał się do żony machającej mu z okna; do dziś wzrusza mnie do łez niemal ta ich czułość sprzed pół wieku; mieszkał tam też jakiś lekarz wojskowy z trzema bodajże ciotkami; była także sędziwa wdowa po prof. Jakubaniście z Wilna, częstująca cukierkami dzieci na podwórzu; byli państwo Tomaszewscy – on był kierownikiem Domu Akademickiego na Sławińskiego (przed wojną Niecała, obecnie również). Żywiliśmy się głównie w studenckiej stołówce, na parterze KUL-u, między zakładami historii po lewej i filozofii po prawej. Zakład romanistyki mieścił się w skrzydle frontowym, na piętrze, między anglistyką kierowaną przez dojeżdżającego z Krakowa prof. Mroczkowskiego i germanistyką prof. Ligacza, gdzie rzucały się w oczy (i uszy) dwie pyskate Górnoślazaczki, Ritta Malcher i Sonia Bimler – ta ostatnia, wypisz wymaluj, Brunhilda albo Krymhilda z Nibelungów. Była tam również cichutka, zawsze uśmiechnięta Danusia Jarzębowska z ul. Niecałej, najbliższa może koleżanka małej Basieńki z romanistyki, z ul. Cichej, której przypadnie niewdzięczny (?) los zostania kilka lat później wiele, wiele lepszą, nieskończenie lepszą połową moją. Najdroższa, wielką mi pustkę uczyniłaś w lipcu 2007!

– Niewielki zespół dydaktyczno-naukowy romanistyki (prowadzonej, przed wojną – anglistyka i germanistyka powstały po wojnie – przez prof. Strońskiego, znanego prowansalistę i głośnego polityka) składał się z prof. Kaliksta Morawskiego (z wykształcenia był historykiem, potem dodatkowa habilitacja z literatury francuskiej, Ignął jednak szczególnie do Dantego) i jego żony, dr Ludmiły, językoznawcy z piękną dykcją francuską i niejaką skłonnością, sympatyczną, do matkowania nam. Ze świeżo upieczonej doktor Mieczysławy Sekreckiej spod Hrubieszowa, specjalizującej się w preromantyzmie francuskim, oraz Mieczysława Kaczyńskiego, kończącego studia repatrianta z Francji (ksywa *Rodzynek* albo *Rodzyn*, bo na swoim nielicznym roku studiów był jedynym mężczyzną). Na jakiś czas doszła

jeszcze dr Jacheć z Krakowa. Nasz rocznik, 1950, był najliczniejszy w dziejach kulowskiej romanistyki. Wcześniejsze lata liczyły najwyżej po kilkanaście osób, roczniki po nas były coraz mniej imponujące liczbowo. Wy tłumaczenie jest proste: na KUL-u nie było wtedy egzaminów wstępnych, na uczelniach państwowych właśnie je wprowadzono, stosując równocześnie odsiew elementów niepożądanych, czyli ziemiańskich, kułackich, z zagranicznymi krewnymi itp. Stąd można było na KUL-u wśród braci studenckiej spotkać różnych Zamoyskich, Czartoryskich, Grocholskich, Rostworowskich, Kiwskich... żyjących często bardzo biednie – a tuż obok byli nieraz młodzi, których rodzice ledwie wyszli z analfabetyzmu. Pamiętam naszą Genię z Podlasia, której matka nie tylko nigdy nie jechała pociągiem, ale nigdy takiego pojazdu nie widziała, bo w najbliższym miasteczku, dokąd chodziła na targ, kolei nie było (natomiast ojciec jechał na wojnę transyberyjskim eszelonem i walczył w 1905 r. za cara w Mandżurii). Różnice poziomu języka były ogromne, stąd wielu adeptów romanistyki się wykruszyło. Wszystkie zajęcia bowiem odbywały się w zasadzie po francuskim (oczywiście poza wykładami ogólnowydziałowymi, jak literatura powszechna, etyka...). Nie pamiętam, ilu z nas dojrzało do dyplomu zawodowego po III roku studiów. Na studiach magisterskich (półtorarocznych) było nas chyba 15. Te osoby już stosunkowo dobrze mi utkwily w pamięci. A więc była Basia Gargas z dwiema koleżankami szkolnymi, lubliniankami, Joasią Miketą, przyszłym kustoszem Biblioteki Uniwersyteckiej UMCS (odeszła u progu nowego stulecia), i Halą Skrzypek (Gzellą), nauczycielką francuskiego w szkołach lubelskich, która dzielnie walczy z przypadłościami właściwymi dla późnej młodości (po osiemdziesiątce) i cieszy się wnukami w Luksemburgu. Z Lublina pochodziła też Izolda Dobkiewicz (Kęsikowa); robiła trochę za „gwiazdę” romanistyki. Życie początkowo pogodne zadało jej później wiele ciosów. Żyje w Lublinie. Z Białegostoku przywiało do nas zgrabną, wysoką, czarnooką Krysie Marszałek. Dobrze sobie radziła na studiach, wyżywała się w chórze akademickim (trochę jako muza prezesa chóru, Jerzego Redera, późniejszego profesora prawa na obu lubelskich uczelniach uniwersyteckich), działała w rodzinnym Białymstoku w sektorze administracji kultury, dyrektorowała w Paryżu, przez jakiś czas była członkiem Rady Państwa, ale – jak słyszę – zawsze była serdeczna i życzliwa wobec wszystkich kolegów i koleżanek, znacznie niżej latających. Odeszła (Krysiu, chyba zatrudnili Cię przy chórze anielskim?). A w kulturze działał też, głównie na terenie filmoznawstwa, Konrad Eberhardt, lubiący brylować, nieodrodny syn „warszawki”. Jako pierwszy z naszego grona odszedł jakiś



40 lat temu. Ruchliwością i zaraźliwą wesołością, a także wzruszającą kochliwością wyróżniał się Zbyszek Sudrawski z Włocławka. Zrobił doktorat, pracował na UMCS, a przede wszystkim „wyhaczył” (to slang obecnych imprezowiczów) z następnego (1951) rocznika romanistycznego Izę, delikatną jak skrzydełko motyla, ale rozsądną, o wielkiej życiowej mądrości, która szczęśliwie do dzisiaj mu „żonuje” (w Lublinie). Typem, subtelnego intelektualisty, lecz bez brio Konrada, był Hubert Krzyżanowski. Podobno nie oszczędziły go tragedie życiowe. Od dosyć dawna jest już po tamtej stronie. Niewątpliwie rasowym intelektualistą (równoległe do romanistyki studiował filozofię) był także Janusz Danielak, o trochę nierównym temperamentie, z dużą fantazją, co niekoniecznie czyniło łatwym życie z nim Joasi Urbańczyk, też z rocznika Izy Sudrawskiej (istoty do gruntu dobrej, o potężnej sile charakteru; ze znanych mi bliżej osób z romanistycznego grona chyba właśnie Janeczka otrzymała największy przydział cierpienia). Oboje spoczywają przy Lipowej (Janeczka o kilka lat wyprzedziła tam Janusza). O Kani i Kładocznym już wspominałem jako o współmieszkańcach w akademiku. Był jeszcze Janek Fischgalla (Fiszgala?), późniejszy mąż Dody z ulicy Wieniawskiej (ze starszego rocznika, 1949), którą w latach siedemdziesiątych spotkałem na stanowisku w ambasadzie PRL w Brukseli; nieszczęsnej pamięci Kociołek był w on czas tam ambasadorem). Później nosił ponoć nazwisko Wilanowski. Jako trochę taki etatowy wesołek w grupie funkcjonował Zbyszek Dyjak z ulicy Orlej. Po studiach pracował w powstającym właśnie klubie i sklepie MPiK, gdzie można było poczytać nie tylko „L’Humanité”, ale i „Le Monde”. Poczytać, nie kupić. Ale i tak była to jakaś szparka (jeszcze nie okienko), gdzie spotykało się wielu lubelskich intelektualistów (choćby taki słynny prof. Paszewski, mikrobiolog z UMCS, czy ks. prof. Żywczyński z KUL-u) oraz studenciaków. Przypuszczam, że sporą sadzawkę kawy wypił tu przy francuskich pismach nasz Włodek Kwiatkowski (jedyne – poza Pilorzem – z tej grupy przyszedł, aż do śmierci 4 czerwca 2004 r., po kilkuletniej walce z chorobą, pracownik romanistyki KUL, niesamowicie zorientowany w nowościach literackich we Francji. Zajmował się szczególnie Saint-Exupérym i Julien Greenem. Niemal chorobliwie nieśmiały, trudno dopuszczający do konfidencji, ale jeżeli już, to na mur, po grób, wszedł do plotkarskiego panteonu romanistyki dzięki „pani Kwiatkowskiej”: była to jego nieodłączna czerwono-brązowa teczka (z dermy?), w której miał pewnego dnia wypożyczony z biblioteki cenny tom Flauberta *Madame Bovary*; będąc zmuszony zamknąć się na chwilę w kabinie ubikacji (instytucja ta miała jeszcze taki sam wygląd jak za

czasów stacjonującego tu wojska carskiego), postawił na oknie przed kabiną rzeczoną teczkę i, gdy wyszedł, teczki nie było; „pani Kwiatkowska” na zawsze zniknęła ciężarna tomem Flauberta... Rozpacz!

Po studiach Władek, zatwardziały stary kawaler, stał się jednym z najgorliwszych palaczy na uczelni. Władziu, tam chyba masz specjalne pozwolenie na podymienie sobie... Listę członków tej naszej magisterskiej grupki zamyka pełna optymizmu Madzia Symoni z mazowieckiego Sierpca. Utonęła na Pomorzu w pracy pedagogicznej.

Temat mojej pracy magisterskiej brzmiał: *Anatole France critique littéraire*. Przepisany na maszynie (przez pewną starszą eksziemiankę, znającą na tyle dobrze francuski, że potrafiła bezbłędnie odczytać mój mało czytelny rękopis) tekst liczył 99 stron. Egzamin magisterski u prof. Morawskiego odbył się na początku 1955 r. Nic z niego nie pamiętam poza obecnością na nim ówczesnego dziekana, prof. Wojtkowskiego, historyka, późniejszego posła na sejm.

Wielce ciekawym, pożytecznym i miłym uzupełnieniem praktycznej nauki języka francuskiego na romanistyce były wakacyjne kursy językowe (wówczas żadna inna romanistyka w Polsce takich kursów nie oferowała). Bezpłatne, z wyżywieniem! W naszych czasach studenckich odbywały się one w Krężnicy Jarej albo na podlubelskiej Poczekajce (później także w Krynicy), gdzie siostry urszulanki prowadziły niewielki akademik żeński oraz gospodarstwo wspomagające uczelnianą stołówkę. Na tych kursach obowiązywał od świtu do nocy język francuski (zakaz języka ojczystego był w zasadzie rzeczywiście przestrzegany). Jako ciało nauczające udzielała się młoda kadra romanistyczna: Mieczysław Kaczyński, Helena Świda, Ewa Bońkowska (późniejsza Barańska), pani Jacheć, nieco starsza pani Nosałewska (gościnnie, podobnie jak pani Farbiszewska, nauczycielka z Chełma). Kurs łączył różne lata studiów, co też nie pozostało bez wpływu na integrowanie się sekcji romanistyki. Na poprzednim roczniku (1949) wyróżniali się aktywnością: Krysia Bielecka (później Falicka), Jerzy Falicki, Kasia Mazurek, Doda Klimczak... Na naszym roku (1950) rej wodziły Krysia Marszałek, Joasia Miketta, Lindert, a także Zbyszek Sudrawski, Hubert Krzyżanowki, Gucio Kania...

Nie udało mi się niestety dokończyć studiów filozoficznych. Rozpocząłem je w 1950 r., równoległe z romanistyką. Zaliczyłem dwa lata, potem już było zbyt trudno iść dwutorowo. O ile dobrze pamiętam, tylko na jednym egzaminie, z logiki, otrzymałem tróję, reszta – chyba piątki, najbardziej jestem dumny z egzaminu z historii filozofii u prof. Swieżawskiego

(materiał z trzech tomów Tatarkiewicza). Jednocześnie wspominam ten egzamin jako modelowy, jako wzór do naśladowania. Profesor właściwie nie stawiał pytań, krążył wokół stolika, przy którym siedziałem, i opowiadał o filozofii, on opowiadał. Tylko od czasu do czasu zawieszał głos, trzeba było „wrzucić” jakiś termin fachowy, datę, autora... Cały egzamin polegał na umiejętności „wstrzelenia” się w odpowiednim momencie w odpowiednią „luczkę” w dyskursie profesora (no, ale nie było to możliwe bez sumiennego przygotowania). Później, jako nauczyciel akademicki, zawsze miałem odrazę do egzaminów typu „prokuratorskiego”: pytanie i czekanie, czekanie, w milczeniu, na odpowiedź. A kiedy ta nie nadchodziła, ...„dwója”. Zawsze uważałem, że celem egzaminatora nie powinno być usiłowanie wykazania studentowi, że nic nie wie, ale usiłowanie wykazania mu, że wie. Egzaminator powinien być jakby rodzajem położnika, nawet na drodze porodu kleszczowego. Jeśli delikwent mimo tych zabiegów nie potrafi niczego „urodzić”, no to dopiero wtedy gilotyna, lecz to ostateczność, i trochę też klęska profesora (a nie triumf nad jołopem). Wracając *ad rem*, na filozofii (sekcja praktyczna) czułem się równie dobrze jak na romanistyce, a może nawet i lepiej. Nauczało wielu godnych uwagi ludzi, jak na przykład Jerzy Kalinowski (gros jego kariery naukowej na gruncie paryskiego CNRS). Świetne były wykłady Pawła Czartoryskiego, pani Waśkiewicz, prof. Makarczyka... Ochoczo rozwijał młode skrzydła tomistyczne o. Krapiec, dominikanin. W arkana psychologii wprowadzał subtelny, ogromnie kulturalny ks. Dybowski. Tylu, tylu innych... Jako student filozofii liźnąłem też odrobinę greki u pani Pliszczyńskiej i troszeczkę sanskrytu (oraz filozofii hinduskiej) u jowialnego górala ks. Tokarza. Na jego habilitację przyjechał ze Szwajcarii słynny swego czasu prof. Regamey. Filozoficzna studenteria owych lat poprzetykana była indywidualnościami ciekawymi w podwójnym tego słowa znaczeniu: ciekawymi świata i ciekawymi dla innych. Tak na chybił trafił: wyskakuje mi z pamięci kosza Leon Koj (zresztą sąsiad z tego samego bloku na LSM, już nieżyjący), logik, znany w świecie naukowym, były więzień, z Tarnowskich Gór; Włodek Stróżewski, o wielkim uroku osobistym, „zabity” intelektualista, profesor UJ; Zosia Włodek, również krakowianka, urodzona intelektualistka, ale też wesoła i towarzyska (od niej pamiętam koreańską jakoby formułkę deklaracji miłości: *nanan naryl saranhanda* – to pokłosie jej kontaktów z cudzoziemcami w czasie Światowego Kongresu Młodzieży w latach pięćdziesiątych); podobnież znana dziś Bortnowska, a także mrówczo pracowita katowiczanka Franciszka (Francesca) Wilczek (wylądowała w Kanadzie pachnącej żywicą).

Głośny był Kuksewicz, zdecydowany marksista, ale inteligentny (miał sympatię na romanistycę, Basię). W grupce młodzieży z Tarnowskich Gór wyróżniał się czupurny, nieduży Kazik Włodarczyk, niespokojny duch, niełatwy we współżyciu, ciężko doświadczony przez los. Przeciwnością jego był Mietek Gogacz, pełen godności i stoickiego spokoju. Niezrównanym organizatorem corocznych eutrapelii był Jurek Młotkowski (też sąsiad na LSM), wulkan energii i wesołości (córkę Anię wyprawił na naszą romanistykę; oprowadza turystów po Florencji). W oczy rzucała się bardzo piękna Teresa Brykczyńska, wówczas muza Stróżewskiego. Świetnym studentem był późniejszy minister Kozłowski i tylu, tylu innych... Wspominam towarzyskie spotkania, szczególnie z prof. Swieżawskim, w Krężnicy Jarej. *Nessun maggior dolore che...*

Przez jakiś czas odrabiałem stypendium, dyżurując w zakładowej bibliotece filozofii, gdzie razem z Mietkiem Gogaczem zajmowałem się porządkowaniem księgozbioru. Podobnie jak podstawowy zasób Biblioteki Uniwersyteckiej na Chopina kierowanej przez oddanego bez reszty tej instytucji o. Gustawa (godnym jego następcą był fanatyczny miłośnik i znawca książek, polonista Andrzej Paluchowski, magister, ale niejeden profesor mógłby... Dyrektorzy ci mieli szczęście do współpracowników podobnie zarażonych bakcylem bibliotekarsko-bibliofilskim, jak choćby nieoceniony pan Nowodworski) znaczna część dzieł filozoficznych, tych dawniejszych oczywiście, pochodziła z petersburskiej Akademii Duchownej. Jeden z jej profesorów i pierwszy nasz rektor wymógł na Leninie zgodę (a tak! to może jedyna zasługa tego, hm...) na wywiezienie księgozbioru do Polski. Nawiasem mówiąc, wódz proletariatu i tak już widział Europę w swoich rękach, przecież podobno był skłonny nawet Mińsk dać Polsce...

Nad naszą pracą czuwał prof. Swieżawski. Ostatni raz widziałem go i słyszałem, osiemdziesięcioletniego, na uniwersytecie genewskim, dokąd przyjechał z wykładem – i małżonką – o filozofii w Europie u schyłku starożytności, wygłoszonym płynną, nienaganną francuszczyzną. Swieżawski to była najwyrazistsza postać na kulowskiej filozofii lat pięćdziesiątych. Na jego wykładach sala zawsze była nabitą. Nieraz zajęte były nawet parapety okien. I cisza. I głos Profesora, często chodzącego wśród stolików, tak samo ciepły i życzliwy, jakby rozmawiał z kimś żywym, tuż obok, a przecież „dialogował” z Bedą Czcigodnym czy Majmonidesem, czy Awicenną, czy Włódkowicem... Sprawiał, że na świadomość słuchacza napierał tłum perorujących i gestykulujących myślicieli sprzed wieków. Dzięki mojemu pobytowi, efemerycznemu, na filozofii trafiła mi się pierwsza poważniejsza

fucha w postaci tłumaczenia, dla potrzeb zakładu filozofii, opasłej monografii Geigera *La participation*. I tak było mi pisane spędzić przeszło pół wieku nad tłumaczeniami. Zajęły mi one prawdopodobnie więcej czasu niż tak zwana praca naukowa romanisty. Oprócz pięciu książek były to w dużej części tłumaczenia usługowe z najróżniejszych dziedzin – od historii i teologii po medycynę i geografę. Nie brałem się nigdy za tłumaczenia literackie (jeżeli pominąć pracę „murzyna”, jeszcze w akademiku, dla studenta polonisty, który przekładał Goethego, nie znając niemieckiego).

W czasach studenckich wszystkie wakacje spędzałem u rodziców w Ochabach koło Skoczowa. Przed oknami rozciągała się pastwisko dla koni ze stadniny. W czasie wakacji uczyłem się do egzaminów (najwięcej czasu zajęła mi historia filozofii i logika, Czeżowski bodajże). Nadwiślańska równina, zielona łąkami, modra stawami, a na południowym horyzoncie góry, nasze góry (przez *o*, bo *gó*ra w naszej gwarze cieszyńskiej to strych), Czantoria, Lipowski Groń... I Beskidy, nasze Beskidy, łagodne, otulone lasami. Podobne są Wogezy i Szwajcarska Jura. Bezcelny w swym ogromie Czomolungma wiecznie trzyma głowę w lodowatym wicherze, a na Baraniej słońeczko igra w wełnie owieczek... Lubienie – rzecz gustu: *le cœur a ses raisons que la raison ne connaît point* – powiedział mądry Pascal. Cóż, nie do orłów mi, bliżej mi do wróbli i jaskółek i czajek z dawnych lat. Haj! jakby w tym miejscu westchnął góral spod samiuśkich Tater, i jak wzdycha stary Pilorz spod samiuśkich Beskidów, co go to do Lublina przywiało. Nie żałuję. *Deo gratias!*